

O Musolfie, przyjaźni i ptaku gryfie

(baśń kaszubska)

Niejeden dzień przeplakała mieszkająca pod lasem gospodyni; tak mało im do pełnego szczęścia brakowało, a jednocześnie tak wiele.

Od chwili ślubu czekała wraz z mężem na syna, lecz mijał rok po roku, a dziedzic się nie pojawiał. Gospodarz z gospodynią pytali siebie nieraz, po co i dla kogo tak ciężko pracują? Komu zostawia, gdy nie mają nikogo z bliskiej rodziny, swoje gospodarstwo, swoją krwawiznę?

Od tej chwili, gdy zadali sobie to pytanie, zaczęli życzliwym okiem patrzeć na wszystkich tych, których spotkała bieda. Na wszystkich pokrzywdzonych przez los, którzy nieraz zachodzili do nich; prosząc o wsparcie czy pomoc w nagłej potrzebie. Do imienia dobrych gospodarzy, które w przeszłości niejeden zawistny chciał im odebrać - jak gdyby zapominając o ich ciężkim trudzie, o ich krwawym pocie – dołączyli sąsiedzi sławę dobrych ludzi, która rozeszła się daleko w całej okolicy.

Pewnego dnia, gdy miało się już pod wieczór, gdy pierwsze gwiazdy nieśmiało zaczęły się już pojawiać na niebie, mimo że słońce niezupełnie jeszcze utonęło za Sycową Górą – przyszła do gospodyni kobieta. Ot, niepozorna, spracowana starowina.

- Taka, jaką i ja będę - pomyślała sobie gospodyni – gdy przyjdzie późny wiek.

Gospodyni troskliwie zajęła się starowinką. Usadziła ją na pięknie rzezanym i malowanym zydlu. Postawiła przed nią zacierkę w glinianym polewanym talerzu, który kupiła na Dominika w Gdańsku, i radowała się widząc, jak starowina, chwalcąc jej serce, zabrała się do jedzenia. Nie minęły dwa pacierze, gdy i mąż gospodyni powrócił z pola. A po wieczerzy, jako że człowiek zawsze jest ciekaw wiadomości z szerokiego świata, pogwarzono o tym i owym. Później, jak to zwykle bywa, rozmowa zesłała na różne dziwy. Gospodarz zażył tabaki z pięknie odrobionego rożka, popijał podpiwek i tylko przytakiwał gadającym bez umiaru kobietom. A one snuły opowieści o Turkach, którzy niegdyś aż w te strony się zapuścili, a to o skarbach zakopanych, czy o złotych wrotach w chmielińskim jeziorze.

Ale wreszcie przyszła czarna noc i trzeba było kłaść się spać. Rankiem, gdy gospodarz już wyjechał w pole, dwie kobiety zostały same w domu. Staruszka chciała się jakoś przysłużyć gospodyni, ale doprawdy niewiele mogła zrobić, gdyż izby były czyste i zadbane.

- Widzę, że radosna i robotna z was kobieta – powiedziała staruszka - a i chłop wasz nie gorszego jest serca. Dobrze wam musi być ze sobą.

- Cóż mam narzekać - powiedziała kobieta. – Tylko czasem człowiek sam siebie pyta, po co to wszystko? Czy dlatego, żeby ziemia nie zarosła chwastem? Już sama nie wiem, po co i dlaczego tak ciężko pracujemy? Byłoby zupełnie inaczej, gdyby był jakiś dziedzic!

- Chciałam się wam przysłużyć - powiedziała staruszka - a nie wiedziałam, jak. Macie tutaj pas pleciony, złotą sprzączką okuwany. A jak pas jest, to i dziedzic będzie. Pamiętajcie tylko, aby Musolf - bo takie imię będzie miał wasz syn - nosił ten pas od siódmego roku życia.

Nim gospodyni ochłonęła ze zdumienia, starsuszki już nie było. Gdyby nie pas cudownej roboty, który trzymała w ręku, łatwo byłoby jej pomyśleć, że przyśniła wszystko to, co zdarzyło się przed chwilą.

- Omam jakiś czy co? - pomyślała gospodyni. - Ale pas przekonywał ją, że to nie omam.

W pierwszej chwili chciała nawet pobiec do męża, który pracował dzisiaj przy torfie, ale rychło się opamiętała. Żywina jeszcze dzisiaj nie oprzątnięta, a przyjdzie chłop na obiad, to zdąży mu przecież wszystko rozpowiedzieć.

Gospodyni nie była jednak spokojna. Niesporo układała się jej także praca i ta w domu, i ta w obejściu. Gdy chłop powrócił z pola, zjadł obiad i zażył tabaki, kobieta opowiedziała mu wszystko to, co stało się rankiem po jego wyjściu z chałupy. Na stole załśnił misternie spleciony pas.

Chłop milczał, po chwili spojrzął na żonę.

- Jak się stanie, tak i niech będzie - powiedział.

Po jakimś czasie wielka radość zapanowała w ich chałupie. Gospodarzom urodził się dawno wyczekiwany syn, któremu dali na imię Musolf.

Mijał rok po roku, a syn rósł im nadzwyczajnie. Nie miał jeszcze sześciu miesięcy, a już mówił. Gdy miał rok - wyglądał na trzy, a gdy miał trzy - wyglądał na siedem. Wreszcie gdy nadszedł siódmy rok, matka wyjęła piękny pas ze skrzyni i zapinając go synowi na biodrach, przykazała, aby nigdy z nim się nie rozstawał.

Gdy minęło kilka lat następnych, Musolf postanowił wyruszyć w świat. Matka przepłakała całą noc, ale rankiem poszła do kołodzieja, aby ten przygotował dla Musolfa kij podróżny. Kołodziej zwołał czeladników, a znając moc Musolfa, ściał piękny dąb. Czeladnicy przez trzy dni i trzy noce toczyli kij podróżny. Trzeciego dnia pod wieczór na podwórzu gospodarzy zajechał drabiniasty wóz, na którym kołodziej przywiózł podróżny kij dla Musolfa.

Musolf wyszedł na dziedziniec i chwyciwszy jedną ręką kij, któremu i trzech czeladników nie mogło poradzić, rzucił go w górę z taką siłą, że ten zafurkotał. Gdy kij spadał, Musolf pochwycił go szybko ręką i uderzywszy o kolano – przełamał na pół.

Nie, to nie był kij podróżny dla Musolfa.

Następnego dnia matka poszła do kowala prosząc, aby ten zrobił kij podróżny dla Musolfa. Kowal również znał moc Musolfa, a że słyszał już o tym, co zdarzyło się z kijem zrobionym przez kołodzieja, wysłał zaraz siedem furmanek po wielkie żelazne buły do Gdańska. Nim zapadła noc, mógł wraz z czeladnikiem zabrać się do roboty.

Kuli przez sześć dni i sześć nocy. Taki blask rozchodził się od kowalskich pieców, że pierwszej nocy myślano w okolicy; iż to wieś się pali. Rankiem rozeszła się już wieść, że kowal kuje kij podróżny dla Musolfa, i ognie z kowalskich pieców przestały ludzi niepokoić. Siódmego dnia przed obejściem gospodarzy zajechał wóz, do którego kowal zaprzęgnął dwanaście tęgich wołów. Na wozie leżał wielki stalowy kij, wyższy od nie jednego masztu, jakie gospodarze widzieli w Gdańsku na skutach.

Musolf podszedł, chwycił drąg, a gdy postawił go na dziedzińcu, aż zadrżała ziemia.

- Tak, matko, z takim kijem mogę iść w świat – powiedział Musolf.

Pożegnawszy się z rodzicami, jeszcze tej samej nocy wyruszył Musolf w świat. Ziemia drżała, jak kijem o nią uderzał, a w miejscu, gdzie kij postawił, zaraz zbierała

się woda i w księżycowych promieniach błyszczało jezioro. Minęła noc, a gdy różowa jutrzienka wypłynęła na niebo, Musolf znalazł się w gęstym borze. Idąc drogą wśród boru ujrzał, jak jakiś człowiek drzewa wyrzywa z korzeniami i idzie prostą ścieżką w las.

- Hej człowieku! - krzyczy Musolf. - A cóż tobie bór szkodzi, że z głupoty wyrzywasz te drzewa?

- Nic tobie do tego! - odpowiada tamten. - po co mam krętą drogą chodzić, gdy mogę sobie prostą ścieżkę przez las wykarczować!

- Może i masz rację! - zawołał Musolf - Myślę, że byłbyś dobrym towarzyszem w mojej wędrówce. Czy nie chciałbyś razem ze mną iść w szeroki świat?

- Ha - zaśmiał się ten, który wyrzywał drzewa - mogę iść w świat tylko z równym sobie. Jeżeli chcesz, możemy się zmierzyć.

- No to zmierzmy się - powiedział Musolf

Odłożył na bok żelazną maczugę i chwycili się za barki. Las jęczał i drżał. Ziemia falowała. Zadał wiatr, który uniósł z ziemi chmurę liści i kurzu. Zrobiło się ciemno. W całkowitym milczeniu toczył się pojedynek pomiędzy Musolfem a nieznanym. Nie widać było, aby którykolwiek z mocujących się uzyskał przewagę. Wreszcie przerwali zapasy i podawszy sobie ręce ruszyli razem w dalszą drogę.

Szli bez chwili wytchnienia dzień cały i noc; a rankiem zobaczyli przed sobą olbrzymie góry. Szli i szli coraz wyżej, gdy zerwała się wielka wichura, niosąca tumany piasku i olbrzymie głazy, które odbijały się od nich jak kamyki. Gdy wreszcie wyszli na wierzchołek największego wzgórza, Musolf zobaczył olbrzymia, który stojąc z drugiej strony gór, dmuchał na nie, znosząc górę po górze z powierzchni ziemi.

- Hej, człowieku! - zawołał Musolf. Czemu to podróżnym szkodzisz, dmuchając im piaskiem w oczy. Cóż tobie szkodzi góry?

- A cóż tobie do tego, człowieku? Nie chce mi się chodzić po górach i dlatego muszę je wyrównać, aby mieć płaską drogę dla siebie.

- Coś mi się wydaje - zawołał Musolf - że i ty przydałbyś się w naszej kompanii. Zawsze to trzem raźniej w drodze. Ja jestem Musolf, a ten drugi - drzewa wyrzywa, jakby to były kępy zeschniętej trawy. Chodź i ty z nami.

- Nie, Musolfie! Ja tylko z równymi sobie mogę iść w świat. Jeżeli chcesz, abym poszedł z wami - musimy się zmierzyć.

Musolf po raz drugi odłożył swoją maczugę i chwycił się za barki z tym, który przesypywał góry.

Jeszcze mocniej zadrżała ziemia. Fale morza wdarły się w ląd, już po kolana w wodzie toczyli zacięty bój - ale nie widać było, aby którykolwiek z nich miał przewagę. Dwaj mocarze stali nieporuszeni w miejscu.

- Dobrze, Musolfie, jesteśmy sobie równi. Mogę iść z wami w świat - powiedział ten, który przesypywał góry.

Szli jeszcze cały dzień, aż pod wieczór poczuli się na tyle zmęczeni, że postanowili poszukać jakiegoś schronienia. Musieliby i tę noc spędzić pod gołym niebem, gdyby nie to, że Musolf zauważył pustą chatę, stojącą na leśnej polanie.

Zmęczeni drogą położyli się spać. Rankiem obudzili się z pierwszymi promieniami słońca i zabrali się do pracy. Musolf i jego towarzysze postanowili zostać w tej okolicy na zawsze. Co prawda Musolfowi wydawało się, że w nocy słyszał jakiś rumor, ale ponieważ jego towarzysze nic nie słyszeli, przestał się tym przejmować.

W chacie został tylko ten, który przesypywał góry, a Musolf z drugim towarzyszem zaczęli karczować las. Karczując, wrywają drzewa z korzeniami, dawno słońce przetoczyło się przez południe, a ich towarzysz obiadu jak nie niesie, tak nie niesie. Wreszcie, gdy głód zaczął im zbyt mocno doskwierać, postanowili wrócić do chałupy. Szli pełni niepokoju, nie wiedząc, co mogło stać się z ich towarzyszem.

W pierwszej chwili, gdy weszli do chałupy, nikogo nie zobaczyli. Musolf zajrzał do garnków, które stały na piecu, ale te były puste. Lśniły tak, jak gdyby ktoś je wypolerował. Nagle. Zwrócił ich uwagę jęk. Spojrzeli ku górze, a tam pod powałą na wielkim haku wisiał ich towarzysz.

Zdjęli go, opatrzyli, ale gdy zapytali, co się w chałupie stało uparcie milczał. Pożywiwszy się suchą strawą położyli się spać. Gdy wstał rano, ich towarzysz czuł się już na tyle dobrze, że mógł razem z Musolfem karczować las. W chałupie został ten, który wrywał drzewa jak zeschnięte kępy traw.

Ale i tego dnia minęła pora południa, a obiadu nie widać. Wieczór zaczął zapadać szybciej, gdyż od zachodu pojawiły się na niebie czarne gradowiny – a obiadu jak nie widać, tak nie widać.

Zaniepokojony Musolf pozostawił towarzysza na karczowisku, a sam poszedł do chałupy. Garnki były puste, a wysoko pod powałą wisiał ten, który wrywał drzewa jak perz. Ale i od niego nie dowiedział się Musolf, co się stało w chacie, gdy on był na karczowisku.

Gdy wstał poranek trzeciego dnia, Musolf został w chałupie, a dwaj jego towarzysze poszli karczować las. Musolf rozpałił ogień, przyniósł wody ze źródła i nastawił trzy sagany. Dokładał do ognia i tak mijała godzina za godziną. Blisko południa do chaty zaszedł niski, pokracczny chłop z brodą długą na metr, pytając Musolfa, czy mógłby się trochę ogrzać, a przy okazji i posilić.

Musolfowi wydało się dziwne, że ktoś w taką letnią spiekotę chce się jeszcze grzać, ale nic nie mówiąc, pomógł starcowi wejść na ciepły piec. Niemniej miał się na baczności. Nalał do talerza zupy i podał ją na piec. Gdy podawał łyżkę, starzec tak niezręcznie ją chwycił, że spadła na podłogę.

- Podaj mi tę łyżkę, młody człowieku - powiedział drżącym głosem piecuch. - Zejść mi po nią ciężko, a i schylać się niesporo.

W tym momencie, gdy Musolf schylił się po łyżkę, zauważył, jak starzec skoczył z pieca prosto na jego plecy. W ostatnim momencie uchylił się i złapał się wpół.

Drzazgi leciały z chałupy. Dachy już dawno nie było. Ściany łamały się, a Musolf walczył i walczył z tym, w którym musiały widocznie skupić się wszystkie złe moce, aż wreszcie go zwyciężył. Staruch stał się na powrót mizerny, drżący i słabym głosem prosił Musolfa o zmiłowanie.

- Już ja ci dam zmiłowanie - pomyślał Musolf. - To on widocznie tak sromotnie oporządził moich towarzyszy, że ci ze wstydu nie chcieli mi o tym opowiedzieć. Pomógł mi ten cudowny pas i to, że piecuch nie podjadł nic z tej strawy, którą mu podałem.

Musolf, rozglądając się dookoła, zobaczył dwa olbrzymie pnie drzewa. Przyniósł je, podniósł jeden z nich do góry i, wsadziwszy pomiędzy nie koniec długiej brody starucha, zakleszczył je na powrót.

- Już ty nam nie uciekniesz - powiedział Musolf. - Idę teraz na karczowisko z obiadem dla druhów, ale wieczorem porozmawiamy.

Musolf zabrał sagany z obiadem i poszedł do lasu. Jego towarzysze zdziwili się, widząc Musolfa, ale nie powiedzieli ani słowa.

Gdy dobrze już podjedli, Musolf rzekł:

- Teraz chodźmy do domu. Musimy porozmawiać z tym, który chciał nam napędzić strachu.

Ale piecucha już nie było. Nie było również dwóch olbrzymich pni drzewa, pomiędzy którymi Musolf zakleszczył jego brodę. Tylko ślad wyorany w ziemi i zwalone pnie drzew wskazywały drogę jego ucieczki.

Trzej towarzysze, nie czekając ani chwili, wyruszyli za tak wyraźnymi śladami. Szli już bardzo długo - a końca wędrówki nie widać. Wreszcie, gdy miało się już pod wieczór, zobaczyli dwa pnie, a pomiędzy nimi brodę, lecz piecucha nie było. Pod pniami widać było czarną, głęboką dziurę.

- Poczekajmy do ranka - powiedział Musolf. – Prześpimy się tu, a rankiem spuszcę się na dół. Tam pogadam z tym przegrzechą tak, że on już na zawsze nas zapamięta.

Położyli się spać. Rankiem, gdy tylko pierwsza rosa okryła trawę i zrobiło się zimniej, trzej towarzysze przebudzili się. Musolf położył swoją maczugę obok dziury, przewiązał się liną i spuścił na dół. Im głębiej się spuszczał, tym było ciemniej i straszniej. Wreszcie poczuł pod nogami twardą ziemię i ruszył przed siebie. Nie zaszedł daleko, gdy usłyszał jęk. Pod ścianą komnaty siedział piecuch, ogrzewając nikłym płomieniem lampki zgrabiałe ręce.

Gdy piecuch zobaczył Musolfa, cofnął się, jak gdyby próbując ucieczki, ale wydał tylko głuchy jęk.

- Panie, wyświadczyć mi łaskę - powiedział do Musolfa - a i ja tobie ją wyświadczę. Jestem władcą tych podziemi. Zakląłem zamek, który zapadł się wraz z trzema królewiankami pod ziemię: Najmłodsza z nich przeznaczona jest dla Musolfa. Po wiedz mi, panie, czy to nie ty jesteś Musolfem, przed którym drzę już od setek lat?

- Tak. Wołają na mnie Musolf.

- Panie, gdybym to wiedział, nigdy nie zaszedłbym do waszej chałupy. Poczulem ciepło, gdy chodząc podziemnymi korytarzami przechodziłem pod waszą chałupą. Tyle lat nie jadłem ciepłej strawy ani nie grzałem się przy prawdziwym ogniu, że musiałem wyjść do was. Towarzyszy twoich zwyciężyłem, ale tobie nie poradziłem. Strzeż się ich jednak. Pamiętaj o tym, co mówię, i strzeż się ich.

-Nie gadaj tyle, przegrzecho. Ja im wierzę - rzekł Musolf. - Jestem im równy, a skoro wierzę sobie, muszę wierzyć i im.

- Jak uważasz- powiedział starzec i klasnął w ręce.

Otworzyła się jedna ze ścian komnaty, skąd wyszły trzy czarne królewianki w złotych koronach.

- Wołałeś nas, panie? - zapytała najstarsza z nich.

- Oto Musolf - powiedział piecuch - który przyszedł was wybawić. Moje zaklęcie straciło już moc, a gdy przy świetle słońca pocałują was przeznaczeni wam kawalerowie, zniknie i czerń z waszego oblicza.

Musolf przewiązał najstarszą z królewianek sznurem, pociągnął trzy razy - i w mig królewianka znalazła się na ziemi, pod światłem słońca. A gdy to się stało, z ziemi wynurzył się, po szczerozłoty dach, pałac, jakiego nikt jeszcze nie widział.

Do królewianki zbliżył się ten, który wyrывał drzewa, a gdy pocałował ją - jej cera stała się bielsza od najbielszego płótna.

Gdy pojawiła się na ziemi druga królewianka, wybrał ją na żonę ten, który góry przesypywał. Pałac wynurzył się aż po diamentami wykładane okna i balkony.

Musolf po raz trzeci dał sygnał, a jego towarzysze, ciągnąc ostatnią królewiankę, mówili pomiędzy sobą:

- Na cóż nam teraz potrzebny jest Musolf? Wyciągniemy na ziemię jeszcze tę królewiankę, aby wynurzył się cały pałac. Ta trzecia królewianka będzie nam służyć, a Musolf niech zostanie na zawsze pod ziemią.

Gdy sznur opadł po raz czwarty do podziemi, piecuch odezwał się raz jeszcze:

- Wierz mi, Musolfie, że niewiele mam chwil życia przed sobą. Życia, w którym nic dobrego nie zrobiłem. Jeżeli mnie posłuchasz i nie przewiążesz się teraz sznurem, spełnię pierwszy dobry uczynek w moim życiu. Twój przyjaciele przetną linę, gdy będziesz już wysoko. Nie jesteś im już potrzebny. Mają pałac i piękne żony.

- Musolf milczał, zastanawiał się, a w tym czasie piecuch mówił dalej:

- Jeżeli nie wierzysz mi, owiąż liną głaz i daj sygnał swoim towarzyszom. Zobaczymy, co się stanie.

Musolf uczynił tak, jak poradził starzec. Gdy głaz znalazł się już z trzysta metrów w górze i ledwo go było widać na jasnym tle nieba, rozległ się głuchy huk - głaz obijając się o ściany spadał na dół. Dwaj towarzysze, którym tak wierzył, przecięli linę.

- Musolfie - mówił starzec - niewiele życia mam przed sobą. I ciebie niewiele go czeka, chyba że wejdiesz w srebrne lustro. To jest drugie wyjście na ziemię. Inaczej nigdy już na ziemię nie wrócisz. A teraz żegnaj, nie mogę iść z tobą. Jestem zbyt słaby. Zbyt małą mam moc, abym mógł ciebie prowadzić.

Musolf wzruszył się. Podziękował temu, który całe życie zło czyniąc teraz zatroszczył się o niego, i ruszył w drogę.

Mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, a Musolf nie mógł znaleźć srebrnego lustra.

Tymczasem dwaj jego towarzysze zupełnie o nim zapomnieli. Byli zresztą przekonani, że Musolf zginął, gdy przecięli linę. Oddawali się próżniactwu, a ich żony nie były nic lepsze od nich, żądając nieustannych posług od czarnej siostry. Jedynie ona pamiętała o Musolfie, opłakiwała go, ale były to łzy smutku, a nie łzy nadziei. Także i ona była przekonana, że Musolf nie żyje.

Pewnego dnia - zresztą Musolf nie wiedział, czy to był dzień, czy noc, ponieważ w podziemiach było zawsze ciemno - wydało mu się, że zobaczył jakiś błysk. Tak; to było srebrne lustro. Musolf próbował je odsunąć, szukając za nim jakiegoś tajemnego korytarza, ale próby te były bezowocne. Wreszcie, po którejś nieudanej próbie, przypomniał sobie dokładnie słowa starca: „I ciebie niewiele życia czeka, chyba że wejdiesz w srebrne lustro”.

- Wejść w lustro, tak powiedział- myślał Musolf. - Wejść w lustro.

Musolf zbliżył się do lustra, dał krok - myśląc pomimo wszystko, że napotka zimną ścianę - ale lustro samo się odchyliło i na powrót za nim zamknęło.

Musolf znalazł się w jasnym korytarzu, którego ściany pokryte były olbrzymimi bursztynami. Wkrótce był już na ziemi. W pierwszej chwili poraziło go słońce, nie widział zupełnie nic, ale gdy po pewnym czasie otworzył oczy, uradował się, ujrzawszy błękit nieba i zieloną trawę.

Oslabiony nie wiadomo jak długim pobytem w podziemiach, postanowił jednak wyruszyć natychmiast w drogę, aby odnaleźć tych, którzy tak niecnie go zdradzili. Podniósł się i szedł śpiesznie, ale cóż z tego, gdy z każdej strony spotykał morze. Musolf znajdował się na ziemi otoczonej ze wszystkich stron morzem.

- Tak - myślał Musolf - tutaj już chyba pozostanę. Ale, co też opowiadała mi matka, gdy byłem jeszcze mały? Zaraz, tak, mówiła mi przecież o wyspie, która rodzi bursztyn. Czyżbym znajdował się na bursztynowej wyspie? A jeżeli tak, muszą mieć na niej swoje gniazdo gryfy, które nieraz przylatywały po żer w nasze strony. Rankiem – postanowił Musolf – muszę odszukać gniazdo gryfów.

Świt był zimny. Znad morza podniosła się mgła, tak że o krok nie było nic widać. Zerwał się jednak wiatr, mgła ustąpiła i Musolf poszedł szukać gniazda gryfów. Gdy był już blisko trzech wysokich skrzyżowanych sosen, zobaczył olbrzymią czarną chmurę. Chmura zbliżała się gwałtownie do wyspy. Do Musolfa dotarło kwilenie przerażonych gryfiąt. Z nieba padał grad tak wielki, jak dynie. Musolf, nie namyślając się, przygiął sosny do ziemi. Wyjął z gniazda trzy gryfięta i, włożywszy je za pazuchę, skrył się pod wielką skałą, gdzie grad nie mógł im nic zrobić.

Burza przeszła tak szybko, jak gwałtownie przyszła. Ledwo Musolf zdążył umieścić gryfięta w gnieździe, gdy znowu pojawiła się ciemna chmura, wielki cień. Ale nie była to chmura lecz cień olbrzymich skrzydeł gryfa, który powracał z pokarmem z dalekiej wyprawy. Pisklęta powiedziały gryfowi, że olbrzymi człowiek uratował je od niechybnej śmierci. Gryf nakarmił je, po czym odezwał się do Musolfa pytając, czego szuka na bursztynowej wyspie?

- Nie szukam na niej niczego. Dostałem się tutaj złym zrządzeniem losu i przez zdradę moich przyjaciół, którzy pozostawili mnie w podziemiach, licząc na moją pewną śmierć.

- Jesteś zapewne Musolfem, o którym tyle słyszałem na ziemi za wodą?

- Jestem nim i chciałbym się właśnie dostać na tę, jak mówisz, ziemię za wodą.

- To będzie trudne, ale jeżeli chcesz, możemy spróbować. Poświęciłeś się dla mnie, więc i ja mogę poświęcić się dla ciebie. Pamiętaj jednak, że jeżeli ja zginę, to i ty zginąć musisz. Nie uratuje ciebie, Musolfie, nawet ten cudowny pas, który jest źródłem twojej mocy.

- Zgadzam się na wszystko - powiedział Musolf.

- Siądź na moim grzbiecie i trzymaj się mocno piór. Zabierz również tego wołu, którego nie zjadły gryfięta, abym mógł się pożywić w czasie lotu.

Musolf uczynił tak, jak powiedział gryf. Lecieli już dzień, noc całą, a gdy tylko gryf przechylił głowę - Musolf karmił go, aby nie opadł z sił. Wiatr świszczął. Jak łupinki wyglądały z góry wielkie fregaty, a ziemi jeszcze nie było widać. Gryf odwrócił głowę do Musolfa, ale ten już nie miał go czym karmić. Opadali coraz niżej, coraz wyraźniej widać było grzywy fal. Gryf nie miał już sił.

Musolf odciął swoją łydkę i gdy gryf odwrócił głowę, nakarmił go. Ten wzbił się wyżej, a gdy odwrócił znowu głowę – Musolf odciął drugą łydkę.

Mocne uderzenia skrzydeł gryfa coraz bardziej zbliżały Musolfa do ziemi. Już widać brzeg. Już widać biały kołnierz fal rozbijających się na strądzie. Gryf złożył skrzydła i szybował w stronę ziemi. Gdzieś daleko błysnęło jaskrawe światło. To promienie słoneczne odbite od złotych blach pałacu wskazywały Musolfowi, gdzie znajdzie tych, którzy go zdradzili.

Nie minęło wiele chwil, gdy gryf wylądował w pobliżu pałacu. Musolf zsunął się na ziemię, ale nie mógł się podnieść. Nie miał sił. Tylko iskierka życia tliła się w tym potężnym człowieku. Gryf zbliżył się do Musolfa, otworzył ostry dziób i delikatnie otarł krwawiące rany. W kilka chwil krew przestała płynąć. W kilka dalszych Musolf mógł się już podnieść, a gdy i następne minęły - nie widać było żadnych ran na jego ciele.

Gryf wzbił się w powietrze i odleciał na wyspę, która rodzi bursztyny.

Tymczasem Musolf, idąc w stronę pałacu, zobaczył swoją leżącą na ziemi zardzewiałą maczugę. Podniósł maczugę, uderzyło ziemię, aż zadrżały ściany pałacu, a w powietrzu uniosła się chmura rdzawego pyłu, tak że wydawało się krwawe.

- Musolf żyje - krzyknął ten, który przesuwiał góry.

- Musolf idzie. Musimy uciekać - krzyknął ten, który wrywał drzewa, jak zeschnięte trawy.

A pałac trząsł się coraz mocniej. Dwie królewianki, bojąc się zemsty Musolfa, także opuściły pałac.

Gdy Musolf wszedł na dziedziniec pałacu, przywitała go tylko jedna osoba, ta trzecia królewianka - jemu przeznaczona. A gdy Musolf pocałował ją w blasku światła, stała się najpiękniejszą królewianką świata. Od tej pory Musolf żył szczęśliwie wraz ze swoją żoną, a gdy urodził im się syn, sprowadził swoich rodziców, którzy na starość bawili wnuka.

Wszyscy żyli w tym pałacu długo i szczęśliwie. Tylko zdradzieccy przyjaciele Musolfa błakają się do dzisiaj wraz ze swymi żonami, szukając po całym świecie przyjaźni, którą zdradzili, a której nie mogą odnaleźć.